



Pierwszy festiwal wojskowy w Gdyni

tekst

KS. SŁAWOMIR CZALEJ

redaktor wydania

Miłośnicy karnawału mogą w tym roku zacierać ręce. Ci, którzy lubią się bawić, choć jeszcze bardziej ci, którzy imprezy organizują. Zabaw na Pomorzu całe mnóstwo. Zniżek bez liku. I być może ktoś w przypiływie szampańskiej uciechy namówi nas na... wizytę w kasynie. Na niewinną zabawę z rzucaniem kostkami, obstawianiem cyfr czy kolorów na planszy ruletki. Bo w końcu co w tym złego, żeby raz spróbować? Tym polecam – na trzeźwo – wywiad na s. IV–V. Lepiej go przeczytać, zanim odbije nam zupełnie. A co do samych „odbić”, to dzisiaj podobno nie do końca wiadomo, kto jest całkiem normalny. Kryterium nie stanowi już wiedza, bo szkoda czasu na czytanie. Życie w zakonie żeńskim wydaje się „jesienią średniowiecza” kobiet, które nie miały co ze sobą zrobić w życiu. Zresztą – w wyobraźni wielu – Biskupin przy klasztorze to Nowy Jork. Reklamy na szczęście stawiają na lśniące włosy, niełamliwe paznokcie i inne zabiegi z cyklu „jesteś tego warta” (choć skądinąd są to sprawy ważne; do talibów sam się raczej nie zaliczam). Ważne jest tu i teraz, żeby było ekstra. Przyszłość przecież nie istnieje. Przynajmniej aż do jutra. Wtedy często okazuje się, że żeby zmienić wczoraj, jest już za późno.

Bóg, Honor, Kołęda...

Śpiew towarzyszył żołnierzom od zawsze. Gdynia **usłyszała ich w repertuarze bożonarodzeniowym.** Odtąd ma być tak każdego roku.

Pierwszy Festiwal Kołęd i Pastoralek Wojska Polskiego przyjął imię biskupa polowego ks. Tadeusza Płoskiego, który zginął pod Smoleńskiem. Artyści amatorzy ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych zmierzali się w konkursie, który od 20 do 23 stycznia odbywał się w Gdyni.

Pomysł na festiwal zrodził się rok temu. – Zaprośiliśmy wówczas do przeglądu kilka zespołów wojskowych. Wraz z dziekanem Marynarki Wojennej przyrzekliśmy sobie, że w przyszłości spróbujemy podnieść tę imprezę do rangi ogólnowojskowej – mówił kmdr por. Andrzej Nowak, kierownik Klubu MW „Riwiera”.

Udało się już w tym roku. Po zgłoszeniu i wstępnym przesłuchaniu w konkursie wzięło udział 12 solistów i 10 zespołów z całej Polski. Przegląd rozpoczął się w czwartek wernisażem wystawy fotograficznej pt. „Biskup polowy Wojska Polskiego generał broni Tadeusz Płoski w Marynarce Wojennej”. Podczas koncertu inauguracyjnego w kościele NMP Królowej Polski w Gdyni wystąpiły prawdziwe gwiazdy. Chór, a także soliści Orkiestry Symfonicznej Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego oczarowali wszystkich obecnych. – Podczas występu uroniłam nawet łezkę – przyznała po koncercie Marianna Grzybiec z tutejszej parafii. W sumie goście usłyszeli 90 artystów w polskich strojach z różnych epok historycznych. W części konkursowej pierwsze miejsce w kategorii solistów

zajął ex aequo Żaneta Kozoświst z Klubu JW 2697 w Brzegu i Magdalena Famuła z Klubu 5. Batalionu Strzelców Podhalańskich z Przemyśla. Nagrodę za drugie miejsce otrzymał jedyny w tej kategorii żołnierz zawodowy – sierż. Krzysztof Lipiński z 11. Pułku Mazurskiego Artylerii w Węgorzewie.

Trzydniowa impreza pokryła się także z pierwszą wizytą w gdyniejskiej Marynarce Wojennej nowo wybranego biskupa polowego WP ks. Józefa Guzdka. – Wyruszyłem w Polskę, by spotkać się ze środowiskiem wojskowym. Moje serce, które było ograniczone tylko do archidiecezji krakowskiej, musi się teraz poszerzyć – mówił biskup. Otworzył on wystawę poświęconą poprzednikowi w Klubie MW „Riwiera” i z radością zgodził się, by muzyczna impreza nosiła imię bp. Tadeusza Płoskiego. **Tomasz Pietrzak**



Laureatka jednego z pierwszych miejsc – Magdalena Famuła z Przemyśla – z kmdr. Ryszardem Sawickim

TOMASZ PIETRZAK

Ordery za bezinteresowność



TOMASZ PIETRZAK

Irena Neumueller, laureatka tegorocznego „Pro Ecclesia et Populo” robi wiele nie tylko dla kobiet

GDAŃSK. Po raz 13. w archidiecezji gdańskiej wręczono odznaczenia „Pro Ecclesia et Populo” osobom zasłużonym dla Kościoła lokalnego. W ostatnią niedzielę na spotkanie opłatkowe przedstawiciele ruchów i stowarzyszeń katolickich w Dworze Artusa przyszło 230 osób. Gośćmi spotkania byli m.in. abp Tadeusz

Gocłowski i wicemarszałek Sejmiku Województwa Pomorskiego Hanna Zych-Cisoń. Podczas uroczystości odznaczenia otrzymało sześć osób oraz jedna grupa. Irena Neumueller została nagrodzona za aktywne wspieranie dzieł nowej ewangelizacji oraz prowadzenie edukacji i formacji kobiet w zakresie teologii, psychologii i antropologii poprzez spotkania „Status Feminae”. Krystynie Holly gremium dziękowało za wielkie, bezinteresowne zaangażowanie w pracę pedagogiczną z młodzieżą i udzielanie terapeutycznej pomocy psychologicznej rodzinom. Grzegorz Borsuk otrzymał nagrodę za działalność charytatywną na rzecz najuboższych oraz prowadzenie chóru przy parafii bł. Michała Kozala w Pruszczu Gdańskim. Za całokształt działalności na rzecz Kościoła i ludzi nagrody przyznano jeszcze: Zofii Zawadzińskiej, Markowi Roślowskiemu i Ewie Roślowskiej. Grupową nagrodę otrzymała Kapela Mariacka za aktywny udział w życiu muzycznym i kulturalnym Gdańska. **tp**

Pięć ścian fotografii

SOBIESZEWO. Wymowną wystawę fotograficzną zatytułowaną „Między Ziemią a Niebem. Pięć ścian” można zobaczyć na Wyspie Sobieszewskiej. Zdjęcia pięciorga trójmiejskich fotografów to subiektywny zapis pięciu różnych spojrzeń wrażliwych na otaczający nas świat. Różne tematy znajdują wspólny mianownik w poezji codziennych spraw, napotkanych obiektów i krajobrazów. Każdy z pięciu cykli zaprezentowanych kolejno przez

Joannę Sierchę, Andrzeja T. Żaka, Arkadiusza Urbana, Piotra Kłudkę i Bogusławę Biliczak-Krywald związany jest z kolejnym hasłem: ziemia, landszaft, kwiaty, majestat i niebo. – Nie trzeba szukać odległych krain, by znaleźć coś niecodziennego w codzienności – tłumaczy Joanna Siercha, autorka cyklu „Ziemia”. Wystawę można oglądać do 7 lutego w Gdańskim Archipelagu Kultury „Wyspa Skarbów” w Sobieszewie przy ulicy Turystycznej 3. **tp**



TOMASZ PIETRZAK

Wernisaż wystawy na wyspie cieszył się niemałym zainteresowaniem

Stacja na Morenie

GDAŃSK. Wiadomo już, jak będzie wyglądała w przyszłości stacja Kolei Metropolitalnej przy ul. Rakoczego na gdańskiej Morenie. W konkursie na projekt stacji zmierzali się studenci czwartego roku architektury. Do dyspozycji mieli plan perspektywiczny, propozycje lokalizacji i mapy sytuacyjno-wysokościowe. Nie dostali natomiast planu funkcjonalno-użytkowego, musieli go wymyślić

sami. Najlepszą pracą okazał się projekt Aleksandry Mierzwy, która wcześniej została nagrodzona za projekt kwartału kamienic przy ul. Garncarskiej. – Poświęciłam tej pracy ponad pięć miesięcy. Zależało mi, by konstrukcja stacji była prosta i lekka. Jednak głównym założeniem było zapewnienie bezpieczeństwa pasażerom – tłumaczyła autorka zwycięskiego projektu. **tp**



MATERIAŁ PRASOWY

Jeden procent dla życia

POMORSKIE. W tym roku Human Life International Polska na swojej stronie internetowej zamieściło darmowy program PIT 2010. W ubiegłym roku wiele osób wsparło programy obrony życia i rodziny, jednak w skali kraju 1 proc. podatku

1%

na cele społeczne przekazało zaledwie 30 proc. obywateli. Zdaniem Ewy Kowalewskiej z HLI Polska, wiele osób po prostu nie wie, jak to zrobić. – Często osoby, które rozlicza zakład pracy lub ZUS, obawiają się cokolwiek zmieniać i boją się kłopotów – tłumaczy. Wszyscy, którzy chcieliby wspomóc organizację pro-life, na stronie www.hli.org.pl znajdują wszystkie potrzebne informacje. Z pomocą programu darczyńcy rozliczą się z fiskusem, nie wstając od komputera. **tp**

Pomodlą się o uzdrowienie

WEJHEROWO. Zbliżają się archidiecezjalne obchody Świątowego Dnia Choroego. 11 lutego w Sanktuarium Pasyjno-Maryjnym w Wejherowie uroczystościom będzie przewodniczył metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. Ojcowie reformacji do wspólnej modlitwy u tronu Matki Bożej Uzdrawienia Chorych na duszy i ciele serdecznie zapraszają wszystkich chorych, cierpiących duchowo i fizycznie. Uroczystości rozpoczną się o godzinie 9.15 odmówieniem bolesnych tajemnic Różańca. Msza św. pod przewodnictwem arcybiskupa zaplanowana jest na godzinę 10. Liturgia będzie też połączona z udzieleniem sakramentu namaszczenia chorych. **tp**

Centrum Informacyjne
Archidiecezji Gdańskiej:

www.adalbertus.gda.pl

GOŚĆ GDAŃSKI

gdansk@gosciedzielny.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk
TELEFON/FAKS (58) 554 34 15
REDAGUJĄ:
ks. Sławomir Czaję – dyrektor oddziału,
Tomasz Pietrzak, Andrzej Urbański

Zmartwychwstanki z Wejherowa

Habit i szok

– Zanim wstąpiłam do zakonu, sprzedawałam w sklepie w Luzinie. I to w tym największym! – mówi wyraźnie ucieszona s. Paula Drywa, w Luzinie znana jako Hania, 26 lat.

Co powoduje, że młoda dziewczyna idzie do zakonu, porzucając myśl o założeniu rodziny i byciu matką? Odpowiedzi szukaliśmy u sióstr zmartwychwstanki z Wejherowa. Nie tylko przy okazji kolejnego dnia osób konsekrowanych i nie tylko z powodu 120. rocznicy powstania zgromadzenia.

Na siostrę to lepiej nie

Wejherowo trudno byłoby sobie wyobrazić bez postaci Jakuba Wejhera i zakonu franciszkanów, ale także i bez duchowych córek Celiney i Jadwigi Borzęckich, założycielek zgromadzenia. Pierwsza, rodzona matka drugiej, została beatyfikowana w 2007 r., o czym na naszych łamach już pisaliśmy. Ale nie tyle za sprawą matek założycielek znane jest zgromadzenie, które przybyło do grodu Wejhera już w 1934 r., ale – tu, na Pomorzu – bardziej dzięki bł. s. Alicji Kotowskiej, dyrektorce tutejszego gimnazjum. Mimo wybuchu wojny, została do końca w szkole. Aresztowana i wywieziona na śmierć, w drodze tuliła żydowskie dzieci, dodając im otuchy... Hitlerowcy rozstrzelali ją w Piaśnicy jeszcze w 1939 roku.

– Z moim imieniem zakonnym to było tak, że w postulacie przyrzekłam sobie, iż jeśli dzisiaj umrze Ojciec Święty, to biorę go sobie na patrona – mówi s. Paula. Był 2 kwietnia 2005 r. Za kilka sekund zapukała do niej jedna z sióstr, obwieszczając śmierć papieża.

Zanim Hania wstąpiła do zakonu, miała chłopaka, choć jednocześnie wypytywała księdza przez koleżankę, co to znaczy mieć powołanie. – Po rekolekcjach weekendowych wiedziałam, że to jest to. Panu Bogu przyrzekłam, że wstąpię, a chłopakowi oznajmiłam, że się rozstajemy. Zrozumiał. – Zresztą nie było sprzeciwu ani jego, ani rodziny, bo wszyscy raczej znali mój kaszubski upór – podkreśla.

Później było jeszcze kilka telefonów do klasztoru, czy aby s. Paula na pewno w nim przebywa. Bliscy nie za bardzo wierzyli, że tam wytrzyma albo że inni wytrzymają z nią. Nim Hania została Paulą, przeszła wydłużoną formację. Zamiast roku, dwa lata postulatu. – Dzisiaj świat ma coraz więcej pokus. Potrzebowałam więcej czasu, żeby się wyciszyć – wyjaśnia. Potem były dwa lata nowicjatu, pięć junioratu i wreszcie śluby.

Znakiem czasu jest to, że do zgromadzenia zgłaszają się coraz starsze kobiety. Więcej dziewczyn przychodzi już po studiach. – Oczywiście, zdarzają się odejścia, ale nie ma ich dużo. Przychodzi też mniej osób, ale wiedzą, czego chcą – mówi s. Marta Majer. Za czasów siostry Marty księży jakoś bardziej zachęcali dziewczyny do zakonnego życia. – Dzisiaj pójście na księdza też popierają. Ale jeśli już dziewczyna chce zostać siostrą, często mówią: „A po co, zmarnujesz sobie życie...” – podkreśla s. Marta.

Albo i tak

Niezależnie jednak, jak święty byłby wikary czy proboszcz, powołanie rodzi się ze świadectwa samych sióstr. – Tu na dniach skupienia dziewczyny wprost pytają, jaka jest na przykład przełożona – mówi. Zresztą same wyobrażenia o klasztorze też bywają przedziwne. – Jestem w zgromadzeniu od niedawna. Ale jaki ja miałam jego obraz! Mury, siostry w podsztywnym wieku i niemile. Ale przysłałam! Dzisiaj sama się z tego śmie-



KS. SŁAWOMIR CZALEJ

ję – mówi najzupełniej poważnie s. Mateusza, prywatnie kuzynka posła Jarosława Sellina. Pierwszy szok s. Mateusza był spowodowany odkryciem, że na korytarzach jest... jasno. – Drugi nastąpił zaraz po tym, jak zobaczyłam s. Izabelę, młodą i uśmiechniętą... – podkreśla.

Tak jak szybko kończą się mity i wyobrażenia dotyczące życia w klasztorze czy samych sióstr, tak szybko przychodzi szok innej natury. Chociażby to, jak zachowują się wobec nich ludzie. Określenia „pingwin” czy „pani” to właściwie standard. Gorzej, gdy siostry dowiadują się, co o nich myślą niektórzy rodzice dzieci ze szkoły, którą prowadzą... – To wynika z samych rozmów z dziećmi. Rodzicom wydaje się, że są wystarczająco dobrymi aktorami – mówią siostry. A gra toczy się o miejsce w prestiżowej podstawówce. To, że ci ludzie są praktycznie niewierzący, można zrozumieć, ale... Chociaż nie-

Siostry są uosobieniem miłosierdzia. Ale tylko do czasu, zanim nie zaczną grać w koszykówkę...

zbyt mądre teksty można zrozumieć także. W końcu coraz więcej wokół związków niesakramentalnych, kolejne rozwody, a siostry... denerwują. Ale najważniejsze, że dzieci czują się tu jak w domu. A jeśli na siostry narzekają, to tylko wtedy, gdy przegrają z nimi mecz w kosza.

Ostatnimi czasy zdarzają się roczniki bez powołań. – Tym nie ma co się przejmować, bo namię przepowiedziane, że nigdy nie będzie nas dużo... – zauważa nieco tajemniczo s. Marta. Przed 120 laty (6 stycznia 1891 r.) kard. Lucio Maria Parocchi, odbierając śluby wieczyste od mamy i córki Borzęckich, powiedział: „Bez wątpienia ludziom będą się podobały raczej inne zgromadzenia i będą je przedkładali ponad wasze, a wy powinnyście przyznać w tym rację i zadowolić się jako te, co przyszły na ostatku zając też miejsce w Kościele Bożym”.

Ks. Sławomir Czalej

Choroba hazardu może dotknąć każdego dnia, w każdej chwili. W karnawale, Wielkim Poście, latem. Niepostrzeżenie i przypadkowo. Całkiem tak jak mała kulka wskakuje w kolejne przegródki cyfr i kolorów na kole ruletki. Czasem wywołuje radość, zwykle jednak rozgoryczenie i rozpacz. **Z prawnikiem i właścicielem firmy, ale i uzdrowionym z nałogu hazardzistą Marcinem** rozmawia ks. Sławomir Czalej.



Zabawa za pół bańki

Ks. SŁAWOMIR CZALEJ: Stanałeś przed uczniami gdyńskiego Katolika, a więc przed gimnazjalistami i licealistami, i... powiedziałaś prawdę. Prawdę dla Ciebie wstydliwą i bolesną. Myślę, że poprzedzoną też wewnętrznymi zmaganiem i walką?

MARCIN: – Pierwszy raz nasza mnie taka myśl, gdy byłem w jednym z kościołów ewangelickich w Gdańsku. O swoim życiu opowiadał wtedy Piotr Stepniak, ps. Gepard, jeden z najgroźniejszych bandytów w Polsce. Nie dawało mi to spokoju. Powiedziałem o nim swojej żonie. I jakoś zaczęła we mnie kiełkować myśl, żeby opowiedzieć innym o swoim życiu, żeby wytłumaczyć, jak cienka jest granica pomiędzy dobrą zabawą a dramatem. Żeby ich przestrzec...

Zacznijmy jednak od początku. Byłeś normalnym chłopakiem. Ministrantem, lektorem...

– Do 23. roku życia nie słyszałem o kasynie. Nigdy nie miałem styczności z pokerem albo z jakimiś tam grami. Kompletnie nie! W 2004 r. zdarzyła się przypadkowa, niewinna sytuacja...

Otóż moi znajomi powiedzieli, że idą zagrać, i zachęcali, bym poszedł z nimi. Najpierw nie chciałem tam iść. Potem pomyślałem: czemu nie... w końcu nigdy w kasynie nie byłem. Mało tego! Po raz pierwszy dowiedziałem się, że kasyno jest w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Na początku była fascynacja, że to godzina pierwsza w nocy, a tyłu ludzi tam jest, co chwila kelnerki z napojami... I to skupienie tych osób, ich twarze... to, że nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Ich oczy skupione były tylko na kulce i na polach. Głowa chodziła jak przy oglądaniu meczu tenisowego. Znajomy, zachęcając, że bym zagrał, zapytał, czy znam zasady. Skąd miałem znać?! Wtedy powiedział, że bym zagrał na czarne i czerwone. Wygrałem 10 czy 20 zł, ale nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia. Następnego dnia znowu poszliśmy.

Z tymi samymi ludźmi?

– Tak. Jak się okazało, oni byli już bardzo wkręceni w hazard. Pokazali mi, że kasyno jest także w Sopocie w Grand Hotelu i w Gdań-

sku. Poszliśmy i pamiętam, że tej drugiej nocy wygrałem 100 zł. Wtedy zacząłem się zastanawiać: kurczę, jak łatwo zarobić pieniądze! Zajęło mi to z 10 minut, a to było tyle, ile zarabiałem wówczas w stoczni, pracując przez cały dzień. Nie dawało mi to spokoju. Przez pierwszy okres 2004 r. trwała passa. Kulminacja tego „szczęścia” nastąpiła przed świętami Bożego Narodzenia. Wygrałem wówczas sporo pieniędzy i zrobiłem wszystkim prezenty. Wtedy zaczęła się pierwsza faza uzależnienia. Zaczęłem grać milionera. Mało zarabiałem w stoczni, ale stać mnie było na opłacenie jednego, potem drugiego kierunku studiów... Zaczęłem chodzić do kasyna codziennie, później już sam.

A do tamtej pory nie chodziłeś sam?

– Na początku z kolegami. Zaczęłem oszukiwać najpierw swoją dziewczynę, że jadę już do domu, a później także samych współgraczy. Mieliliśmy taką zasadę, że wchodzimy razem, razem gramy, a wygraną dzielimy między siebie. Pomyślałem: po co miałbym się z nimi



Hazard ciągnął Marcina na samo dno. Kołem ratunkowym okazało się małżeństwo z Olą

iki

dzielić? I wtedy pamiętam, że przegrałem swoje pierwsze 200 zł. To było w 2005 r., tuż przed walentynkami. Miałem kupić dziewczynie ładny prezent, zegarek. Czekałem nawet na niego, żeby mi go sprowadzili. Oczywiście nie kupiłem, ale miałem wtedy takiego doła, że przegrałem...

Ale i tak długo miałeś szczęście, że wygrałeś.

– Grałem na bardzo małe stawki. W kasynie człowiek nie może sobie założyć, że jak wygra 200 zł, to wychodzi i nie gra więcej. Zaczyna się zastanawiać, czemu nie 300 albo 500! W końcu i tak przegra wszystko.

Ostrzeżenie nie poskutkowało?

– Nie. W 2005 i 2006 r. zacząłem chodzić coraz częściej. W stoczni dostałem podwyżkę. Grałem nadal za nieduże pieniądze. Gdy przegrałem, to szedłem do bankomatu i wypłacałem 100 czy 200 zł, co nie było jakąś wielką sumą. W 2006 r. wyjechałem na kontrakt do Holandii i zacząłem zarabiać naprawdę duże pieniądze.

K.S. SWANOMIR CZALEJ

Duże, to znaczy ile?

– Zostałem kierownikiem projektu i dostawałem z dziesięć razy więcej niż w Polsce. Tak więc wprost proporcjonalnie do zarobków zacząłem też więcej niepostrzeżenie tracić.

Ile?

– Kiedy zarabiałem 10 czy 15 tys. zł, a bywało, że i 20, to nie zastanawiałem się nad tym, że straciłem 500 zł. W kasynie nabyłem cechy pychy, przekonania, że jestem lepszy od innych. Ja naprawdę do 2004 r. byłem skromnym chłopakiem, nigdy nie wchodziłem nikomu w drogę. Nie wyrażałem się. Kasyno skrzywiło mój obraz ludzi, że są – nie wiem – głębami. Zacząłem kupować bardzo drogie ciuchy. Sweter za 800 zł, buty za 1000, a nawet garnitur za 10 tysięcy! Zegarki pełen szpan. Wydawało mi się, że jak nie mam oryginalnej koszuli na sobie, to jestem gorszym człowiekiem. Doszła kolejna rzecz... lęk o pieniądze. Jak nie miałem w portfelu 1000 zł, to źle się czułem.

Jak to się objawiało? Niepokojem?

– Tak. Idąc do kasyna, potrafiłem przepuścić lekką ręką 300–400 euro, a zaraz potem w sklepie zastanawiałem się, dlaczego masło jest takie drogie... W momencie gdy wygrałem, to nawet mi nie przeszkadzało, że paliwo kosztuje 6 zł. W euforii kupowałem wszystko, na co miałem ochotę.

Rok 2007. Passa zarobkowa trwała. Miałem 26 lat, miałem ludzi pod sobą. Granie tak mnie pochłonęło, że potrafiłem iść do pracy, zaraz po niej biegiem do kasyna i tam grałem do drugiej w nocy. Kiedy wygrałem, w ogóle nie odczuwałem zmęczenia, jeszcze film oglądałem do czwartej rano. A o siódmej szedłem już do pracy na takiej adrenalinie, że byłem wyspany i uśmiechnięty. Jeśli przegrałem, to nie chciało mi się do tej pracy wstawać. Spóźniałem się. W 2008 r. straciłem pracę, bo poszedłem za człowiekiem, który obiecywał szybki zarobek. Zagrałem jak hazardzista. Mogłem mieć pracę stabilną, ale z mniejszymi zarobkami...

Grałeś dalej...

– Tak, bo miałem odłożone pieniądze. Kasyno stało się moją pracą! Zmieniłem swój tryb życia. Wróciłem do Polski i zacząłem grać w Gdyni od 10 rano do 16–17. Potem chwila przerwy, i od 21 do 4 w nocy dalej. I tak codziennie. Poznałem dziewczynę, zakochałem się (dziś jest moją żoną), ale nawet to nie zastopowało mojego uzależnienia. Choć bywało, że obiecywałem sobie, iż już nigdy w życiu nie zagram. Te postanowienia trwały zwykle około dwóch tygodni.

Ile przepuściłeś oszczędności?

– Jakieś 220 tys. Wszedłem w kredyty bankowe, chętnie mi udzielane, no bo młody chłopak, bezdzietny, kawaler. Miałem wszystkie karty kredytowe. Od platynowej do bordowej. Brałem kredyty po 15 tys., nieważne, w jakim banku i na jakich warunkach. Później, kiedy zacząłem wychodzić z choroby, uświadomiłem

sobie, jakim cholerstwem są te karty i jakie de facto zaciągnąłem długi. Na jednej karcie w ciągu jednego dnia potrafiłem mieć obrót 47 tys. zł! Bo ja nie tylko wybierałem z konta, jak wygrywałem, to wpłacałem.

Obliczyłeś, ile w sumie przegrałeś?

– Oczywiście, że tak. Pół miliona... W tym także kredyty na rodziców... W kasynie nauczyłem się świetnie kłamać. Zmanipulowałem wszystkich. Doszło nawet do tego, że pożyczyłem pieniądze od lichwiarza. 10 proc. od pożyczonej sumy codziennie. Straciłem wszystko, ale także zostałem wypalony z miłości, z emocji. Dzisiaj myślę o tym z przerażeniem. Spokój ducha odzyskiwałem, kiedy grałem. Gdy już zaczęli zamykać kasyno, dostawałem drgawek, pociełem się. Doszło do tego, że jak zamykali kasyno w Gdyni o czwartę, to jechałem biegiem do Sopotu, bo tam było czynne do piątej. Zawsze elegancko ubrany, pachnący drogimi perfumami, jeżdżący dobrym samochodem. Huśtawka emocji. Skrajne emocje, z tysiąc dziennie, w zależności od tego, jak wpadała kulka. Czas w kasynie mijał mi błyskawicznie.

Kiedy stwierdziłeś, że jesteś w punkcie, w którym sam z tego nie wyjdiesz?

– Wszystko zawdzięczam swojej żonie Oli. Gdyby nie ona...

Sporo ryzykowałeś...

– Bardzo dużo. Ale nigdy nie mówiła: albo pójdziesz się leczyć, albo odejdę. Ślub miałem w maju 2009 r., a leczyć zacząłem się w lipcu. Wskazała mi drogę, choć była bardzo młoda. Wtedy miała 21 lat! Razem poszliśmy na spotkanie anonimowych hazardzistów w Gdyni.

Chciałbym jeszcze jedną rzecz podkreślić. Ja naprawdę straciłem wszystko. Był moment, że nawet rodzinę. Nie mówiąc o pracy, pieniądzach, przyjaciółach. Ale nigdy nie straciłem wiary. Modliliśmy się z żoną codziennie do Boga, żeby nam pomógł i wskazał drogę. W kościele codziennie tysiące razy przeproszałem. Nigdy nie straciłem nadziei, że się uda... Długo trwało, zanim przyznałem się przed sobą, ile przegrałem. Na terapii żyłem za 3 zł dziennie. Żona mi dawała. Wystarczało na kolejkę i na drożdżówkę... Dzisiaj, kiedy patrzę wstecz, to nie zamieniłbym obecnego życia na nic innego, na wirtualny świat. Na dniach ma się nam urodzić córka.

Nie boisz się, że wrócisz?

– Oczywiście, że się boję. Ale narzuciłem sobie olbrzymi rygor; jak chcę zagrać, to mówię sobie, że nie dziś, tylko jutro. A jutro jest lepiej.

Nawet jeśli w filmie oglądającym w telewizji pojawia się scena z kasynem, robi mi się ciepło. To jest choroba nieuleczalna, ale można ją powstrzymać. Teraz, w styczniu, minęło półtora roku, jak nie gram. Spłaciłem większość długów. Zerwałem z iluzją. Życie realne jest wspaniałe... Chociaż została pamiętka – często skacze mi ciśnienie. ■

MEDIEWISTA Z KASZUB.

Profesor Gerard Labuda wybudował dom w Poznaniu, obok mieszkali inni naukowcy. Pewnego razu dwie gosposie – w tym gospodyni wielkiego historyka – zaczęły na poważnie zastanawiać się, skąd właściwie u niego wzięły się dzieci...

tekst i zdjęcie

KS. SŁAWOMIR CZALEJ

sczalej@goscniiedziny.pl

Pomyślałem, że chociaż wydarzenie jest prawdziwe, nie będę ujawniał, kto z kręgu przyjaciół uczonemu mi o tym opowiedział... Rozważania profesorskich gospodyń nie były bynajmniej plotkami na poziomie „Życia na gorąco”, ale dywagacjami wielce naukowymi, bo... popartymi doświadczeniem. Jak po latach – przy okazji pogrzebu – wspominały jego dzieci, tym, co zapamiętały z domu najbardziej, był całodzienny stukot maszyny do pisania...

Narodziny geniuszu

Życie profesora Gerarda Labudy (1916–2010) rozpoczęło się w cieniu Matki Bożej Sianowskiej, Królowej

Kaszub i Patronki Pięknej Miłości, a konkretnie w Nowej Hucie. Kraina lasów, jezior i diabelskich kamieni bardziej sprzyja pisaniu sag niż rozpraw naukowych. Bo też i naukowo tereny te były wielce zaniedbane. – Do szkoły zacząłem chodzić dopiero w 1924 r., mając osiem lat – powie po latach profesor, obecny wśród autorów „Encyklopedia Britannica”. Szkoła znajdowała się w odległym o 4 km Luzinie. Zimą chodził przez ciemny las, a drogę wskazywała mu stara kobieta, idąca rankiem do kościoła. – Oświetlała sobie drogę świeczką w słoiku i gdy widziałem w oddali ten migoczący płomyk, to czułem się raźniej – wspominał. Sam poziom edukacji też nie wróżył świetlanej przyszłości. W pierwszej klasie spędził zaledwie miesiąc, w drugiej dwa miesiące, a w czwartej uczył się trzy lata, bo szkoła była tylko czteroklasowa...

– Na 750-lecie powstania Luzina, w 1995 r., profesor po 10 latach kwerendy napisał historię miejscowości, nie biorąc honorarium, w podziękowaniu za to, że tu nauczył się pisać i czytać – mówi Maria Krośnicka, dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej im. Leona Roppla w Luzinie, prywatnie przyjaciółka prof. Labudy.

Zanim poszedł do wejherowskiego gimnazjum, był już jednak nieźle „samowyedukowany”. Jego – jak to się mówi w tych stronach – „porządnicka” mama wykladała starymi gazetami wszystkie szafy, szuflady i komody. W 1926 r., kiedy ludzie mówili jedynie o przewrocie majowym, mały Gerard zachycił się reformami finansowymi Grabskiego, bo o nich „pisała” w szufladach i szafach „Gazeta Wejherowska”. – Trzeba podkreślić, że idąc do szkoły, znał już trzy języki. Kaszubski z domu, polski z kościoła, a niemiecki chwycił, przepisując książkę kucharską – podkreśla prof. Józef Borzyszkowski, przyjaciel uczonego. A przyswoił nie tyle język, co samą pisownię gotycką. – Moja mama nauczyła się gotyku w pruskiej szkole i gotykiem pisała listy w... języku kaszubskim – wspominał profesor.

Języki były w ogóle mocną stroną prof. Labudy. Łatwiej byłoby wymienić, których spośród europejskich nie znał: fińskiego i węgierskiego, chociaż w tym pierwszym czytał. Zaskakiwać może stwierdzenie kaszubskiego ojca historyków Pomorza, że „człowiek zna dobrze tylko jeden język! Trzeba czuć dźwięk, melodię, fonytykę”. – Ci, którzy znają twórczość profesora, i słyszeli, jak mówił, podkreślają jego nieco barokowy język. A to dlatego, że polskiego uczył się z książek Sienkiewicza – zauważyła Krośnicka. Sienkiewiczowi, a konkretnie książce „Quo vadis” prof. Labuda zawdzięczał biegłą znajomość języka szwedzkiego. W roku szkolnym 1938/39 wyjechał na stypendium do Lund, badając nordyckie źródła do dziejów Słowiańszczyzny. Czytając szwedzki przekład książki, nauczył się biegle języka, i to w dwa tygodnie! Przy okazji poznał też język staroislandzki, tak że mógł czytać stare sagi wikingów. – Szybkie opanowanie języków profesor tłumaczył znajomością kaszubskiego. Mówił dosłownie, że język polski jest barbarzyński, z tego względu, że sztucznie stworzono akcent na przedostatnią sylabę – podkreśla. Tymczasem język kaszubski ma akcent ruchomy.

Młody Labuda w lipcu wrócił do Polski z gotową monografią o stosunkach słowiańsko-skandynawskich w X i XI w. W kraju pachniała wojną. Monografia zaginęła.

Książki

Atmosferę domu profesora określały niejako dwie składowe. Przede wszystkim on sam, będący człowiekiem bardzo skromnym, szanującym opinię innych. – Jej niezwykłość potęgował też wspaniały księgozbiór, pełen starodruków – mówi Tomasz Żuroch-Piechowski, autor wywiadu „Jak Kaszuba z Kaszubą” z „Tygodnika Powszechnego”. A księgozbiór „najznamienitszego historyka od czasów Jana Długosza” został w całości przekazany do Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Lepiej nawet nie pytać, ile tego



Puste krzesło prof

Powiat wejherowski ofiarował ten mebel prof. Labudzie jako swojemu pierwszemu honorowemu obywatelowi. W tle Maria Krośnicka



profesora

jest... – W domu profesora, w jego siedmiu pokojach, książki były dosłownie wszędzie; nie było praktycznie szaf ani rzeczy osobistych. Oszczędzał na jedzeniu, ale nigdy na książkach. Są wśród nich tak cenne dzieła, że studenci musieli by po najbliższe jeździć do Berlina, a niejedna z nich jest więcej warta niż cała nasza biblioteka – mówi całkiem poważnie Krośnicka.

Sam profesor wspominał, że w gimnazjum pracował jako intrologator, kupując za zarobione pieniądze książki na wyprzedazach. Szybko też przyszedł czas na własne publikacje (ponad 30 książek, nie licząc 2000 artykułów). Na uniwersytecie w Poznaniu miał jako student napisać artykuł do „Roczników Misjologicznych” o pierwszym biskupie Prusów, Chrystianie, mnichu z cysterskiej Oliwy. – Z referatu zrobiła się książka na 237 stron... – powiedział skromnie G. Labuda o swojej pierwszej publikacji, którą dzisiaj zalicza się do monografii monumentalnych.

– Na marginesie warto przypomnieć, że referaty profesora, napisane w czasie pierwszego i drugiego roku studiów, to jego wojenna magisterka i doktorat... – podkreśla Maria Krośnicka.

Przed wojną młody student wplątał się w pomoc w redagowaniu innej książki, czego nieomal nie przypłacił życiem. Było to w kwietniu 1938 r. – Otóż do poznańskiego środowiska naukowego zgłosił się dziennikarz Józef Kisielewski, prosząc o pomoc w wydaniu książki, która miała być obroną polskiego stanu posiadania na Pomorzu – wyjaśnia prof. Borzyszkowski. Wszystko za sprawą narastającej nazistowskiej nienawiści do Polski, a zwłaszcza polskiego „korytarza”. Książka „Ziemia gromadzi prochy”, oparta na źródłach historycznych, jasno ukazywała, że odwoływanie się do germańskiej starożytności jest ideologią, a nie nauką. W rozdziale „Motyl w jantarze” opisane zostały Kaszuby i ich mieszkańcy. W dowód wdzięczności za pomoc i za wspólną podróż po kaszubskim Pomorzu w lipcu 1938 r. autor książki podziękował we wstępie przyszłemu profesorowi. Książka – oręż w nadchodzącej wojnie, która ostatecznie ukazała się w 1939 r., znaleziona podczas rewizji, była podstawą do natychmiastowego wysłania do obozu koncentracyjnego.

W przypadku młodego Gerarda był to wystarczający powód, żeby został wpisany na listę osób poszukiwanych przez gestapo. Już po wojnie dziennikarz Aleksander Rogalski podkreślił, że nikt w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, iż treści zawarte w tej książce, m.in. o granicy na Odrze, okażą się rzeczywistością. Książka stała się też podpora duchową dla repatriantów, którzy także dzięki niej mogli się poczuć duchowo u siebie...

Wojnę prof. Labuda spędził w Chrobrzy, gdzie poznał swoją przyszłą żonę, córkę margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, ukończył tajne studia, zrobił doktorat, a także – w ramach Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich – w roku akademickim 1943/44 prowadził w Kielcach swoje wykłady.

I jeszcze rzecz o prawdzie, której profesor pozostał do końca wierny. W 1979 r., a więc już po wyborze Karola Wojtyły, ukończył książkę o biskupie krakowskim św. Stanisławie ze Szczepanowa. Sprawa biskupa, jak wiadomo, jest kontrowersyjna. – Przypomina mi się w tym kontekście anegdota o Styce, który malował Matkę Bożą. Ta nie wytrzymała i ukazując się artyście, powiedziała: „Ty mnie nie masz malować na kolanach, ale masz malować dobrze!” – śmieje się prof. J. Borzyszkowski. Książka ukazała się ostatecznie w 2000 r. W imieniu prof. Labudy wraz z monografią św. Wojciecha wręczył je Ojcu Świętemu abp Henryk Muszyński. Jan Paweł II wysłał profesorowi osobisty list, w którym podkreślił, że lektura „łączyła się z wielką intelektualną satysfakcją”. Spotkało się w końcu dwóch wielkich...

Życie prof. Labudy streszcza się do koła. Pochowany na cmentarzu w Luzinie, napisał przed śmiercią: „To moja droga życiowa – od Kaszub do Kaszub. Koło zamyka się”. Uwieńczeniem jego życia, co sam podkreślił, stała się jednak książka osobliwa. „Historia Kaszubów w dziejach Pomorza, t. I. Czasy średniowieczne”. Dlaczego? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, należy się profesorowi osobny artykuł, co obiecuję także dlatego, że w pomorskiej prasie po jego śmierci nie za wiele się o nim ukazało... Ale i dlatego, żebyśmy my, Pomorzacy, mieli świadomość, co temu skromnemu wielkiemu mistrzowi historii zawdzięczamy. ■

Pod koniec stycznia dostają laurki, kwiaty i czekoladki. **Czym żyją i co jeszcze mogą dać z siebie?** Na to pytanie z okazji Dnia Babci i Dziadka odpowiadali przedstawiciele Klubu Seniora Rodziny Kolpinga przy parafii św. Piotra i Pawła w Gdańsku.

Od wychowywania są przede wszystkim rodzice. Rozwój intelektualny to zadanie dla szkoły. – My jesteśmy od kochania, rozpieszczania, dobrego przykładu i tysiąca innych rzeczy – mówią na kilka dni przed swoim świętem babcie i dziadkowie z parafialnego Klubu Seniora. Na spotkaniu z gdańskim „Gościem Niedzielnym” dzielą się swoimi dokonaniami i mówią o ważnych rolach, które wciąż pełnią w swoich rodzinach.

Czas na wszystko

W przedśionku domu parafialnego słychać ożywioną rozmowę. Może to spotkanie jakiejś grupy młodzieżowej? Po wejściu oczywiście wita mnie grono osób młodych duchem. – Będziemy mówić bardzo dużo, bo dużo się u nas dzieje. Później wszystko się dotnie – żartuje na początku rozmowy Krystyna Wawrowska, liderka Klubu Seniora. Jego bardzo szeroką działalność można prowadzić dzięki dotacjom, jakie Stowarzyszenie Rodziny Kolpinga otrzymuje z Departamentu Polityki Społecznej Urzędu Miejskiego oraz Wojewódzkiego. Członkowie najbardziej cieszą się z wielu organizowanych wycieczek. – Można śmiało powiedzieć, że w jesieni życia staliśmy się grupą podróżników. Od powstania klubu w 2005 roku odwiedziliśmy około 70 miejsc – mówi pani Krystyna. Podróżują, mają ciekawe spotkania z lekarzami specjalistami, nie stronią też od zajęć sportowych organizowanych w pobliskiej szkole. Babcie z klubu przyznają, że po zajęciach z gimnastyki relaksacyjnej wychodzą o 10 lat młodsze. – Potra-

Spotkanie gdańskiego Stowarzyszenia Rodziny Kolpinga

To są superdziadkowie!



TOMASZ PIETRZAK

fimy jeszcze wdrapać się na najwyższą wydmy w Łebie, więc nie brakuje nam żywotności – dodaje liderka. Kilkaście osób brało też udział w programie „Nordic walking”. – Nie mogłabym w ogóle chodzić, gdybym rano nie przeszła pięciu kilometrów z kijkami – przyznaje 83-letnia Waleria Grodzicka. Ma 11 wnuków i 13 prawnuków, a mimo wielu własnych zajęć i zainteresowań zawsze znajdowała dla wszystkich czas. Jej zdaniem, najważniejszą cechą babci jest słowność i prawdomówność. – Dzieci nigdy nie wolno okłamywać i zawsze trzeba dotrzymać im słowa – przekonuje.

Inna uczestniczka spotkania, Marianna Żerebiec, na potwierdzenie tego przypomina treść laurki, jaką od wnuka dostał kiedyś jej mąż. „Kocham Cię, Dziadku, bo jak się ze mną umówisz, to zawsze przyjdiesz na czas” – przytacza słowa życzeń.

To zawsze wraca

Babcie i dziadkowie przyznają, że ich aktywność w klubowym gronie nie jest tak ważna, jak chwile poświęcone najmłodszym w rodzinie. Zadania stojące przed nimi

Członkowie SRK przynieśli zdjęcia swoich wnuków i prawnuków

obejmują czasem wszystko, na co akurat nie mają czasu ich pracujące dzieci. Tak jest w wielopokoleniowym domu pani Wawrowskiej, która mieszka z trzema wnuczkami. – Kiedy córka wróciła do pracy, to ja pomagałam im w lekcjach i do dziś prowadzę dom. W naszym wieku musimy mieć jeszcze bardzo dużo siły, by ciągnąć rodzinny wózek – przyznaje aktywna babcia.

Nie wszyscy seniorzy mieszkają i prowadzą wspólne gospodarstwo ze swoimi dziećmi, ale uważają, że dobrym rozwiązaniem jest przynajmniej mieszkać w pobliżu. Wówczas łatwiej jest realizować jedno z najważniejszych zadań stojących przed wzorowymi dziadkami. Zebrani na spotkaniu zgodnie twierdzą, że jest nim jednoczenie rodziny. – Nie mieszkamy z żadnym z dzieci, ale jest już tradycją, że cała rodzina zjeżdża do nas na wspólne święta. Nikt się jeszcze nie wyłączył, a przy śpiewie kołęd stanowimy zgrany chór – opowiadają Maria i Antoni Radomscy. Scalenie wszystkich pokoleń i to, że dorosłe już wnuki z własnymi dziećmi

zawsze chętnie wracają do babci i dziadka, jest możliwe tylko dzięki najważniejszemu zadaniu. – Daliśmy wnukom dużo miłości, gdy byli młodsze, a to zawsze wraca – mówi pani Maria. Sposobów okazywania miłości seniorzy z klubu podali całe mnóstwo. Czytanie bajek przed snem, spacer, w Boże Narodzenie obowiązkowe (dla dziadków) przebieranie się za św. Mikołaja czy gra w domową koszykówkę, którą uprawiał z wnuczkami pan Antoni. – Zawieszaliśmy kosz na drzwiach od kuchni i grałimy w przedpokoju. Dziś jeden z wnuczków gra w koszykówkę w Niemczech, a ja mogę być z niego dumny – wspomina. Wszystko wymaga czasu, który po przejściu na emeryturę nadal trzeba aktywnie wykorzystywać. Superdziadkowie z gdańskiego Klubu Seniora nie wykluczają, że w przyszłym roku w Dzień Dziecka zorganizują wspólną imprezę z programem artystycznym dla najmłodszych członków swoich rodzin. Nie narzekają przy tym na brak sił. – Oby wszystkie wnuki i prawnuki miały tyle energii, co nasze pokolenie – kończy z uśmiechem Krystyna Wawrowska.

Tomasz Pietrzak